

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

11)

— Co!... Panie doktorze, pan chyba żartuje... My na kolację? do restauracji? — czuć było w głosie obrazę.

— Od tego są restauracje, ażeby jeść w nich, jeśli kto głodny.

— O, nie, panie doktorze! Od tego mamy dom rodzinny! — zawołała z godnością — i naprawdę podobnej propozycji nie spodziewałam się nigdy ze strony pana doktora... Ja i moja córka, na kolację, z obcym mężczyzną... nie, to mnie bardzo dziwi.

— Będzie przecież pani kuzyn, więc nie tak bardzo obcy — upierał się doktor.

— Kuzyn! — zaśmiała się sucho — ale kto go zna w Krakowie. Nawet z mężem nie poszłabym do restauracji w Krakowie, bo to rzuciłoby złe światło na mój dom.

— Tak, pani radczyni ma zupełną rację. Nie zastanowiłem się i bardzo przepraszam — rzekł doktor skruszonym głosem, w którym przebijała ironia.

— Ja się nie gniewam... ale bądź, co bądź propozycja była dziwna.

— Ponieważ jestem głodny — mówił swobodnie doktor — sądziłem, że paniom kolacja nie zaszkodzi. No, stało się i już się nie powtórzy... czy panie pojedą do domu?

— Jak myślisz, Klimeczko?

— Chodźmy pieszo... wieczór tak piękny, niebo gwiaździste.

— O, ty moja poetko — zaśmiała się matka — dobrze dziecko, pójdziemy pieszo.

— Panie darują, że je opuszczę, ale muszę za telefonować i dowiedzieć się o stanie ciężko chorego pacjenta — zęgnął się doktor, a wręczając swój bilet z adresem Romanowi, dodał: — może zechce pan zająć do mnie wolnym czasem, będzie mi przyjemnie.

— Ale z panem doktorem rozstajemy się w dobrej zgodzie — podała rękę radczyni uśmiechnięta.

— Nie posprzeczaaliśmy się przecież — odparł uprzejmie.

— I pan doktor nas odwiedzi — dodała Klimeczka z uśmiechem — zjemy kolację w domu.

— Bardzo chętnie.

Zaledwie doktor odszedł, zawołała radczyni oburzona:

— I co on sobie o nas myśli!? Za kogo nas ma?! Co ty na to, Klimeczko?

Córka, nie zwalniając kroku, rzekła tonem suchym:

— Mameczka niepotrzebnie się uniosła, można było to samo powiedzieć, ale bez podniesienia głosu... spokojnie, grzecznie i stanowczo.

— Dobrze tobie mówić teraz — powiedziała niezadowolona — gdy już minęło, ale pomyśl sobie, jutro cały Kraków wiedziałby, że byliśmy na kolacji z doktorem. Okrzyczanoby, że jesteś z nim po słowie, że włóczyliśmy się z nim po restauracjach...

— Mameczko, niema o czym mówić, nie poszliśmy i koniec.

Roman, który szedł obok Ireny, szepnął do niej:

— Nie rozumiem tego gwałtu o jedną, głupią kolację.

— Ani ja.

Mimo szeptu coś nie coś dosłyszwała Klimeczka i spytała:

— Co mówiła kuzynie?

— Nie wiem, co w tem złego, ażeby panie z doktorem i ze mną były poszły na kolację.

— Nie znasz, kuzynie, reguł światowych — powiedziała wyniosła Klimeczka — panna dobrze wychowana, jeśli już idzie do restauracji, to tylko z ojcem i matką. Może u was w Warszawie są inne zwyczaje, ale my w Krakowie trzymamy się przepisów światowych.

— Istotnie, Klimeczko, u nas jest ta zasada — uśmiechnęła się Irena — jeśli kto głodny, idzie jeść do restauracji, bez względu na kodeks światowy. Może to złe, ale tak jest.

— Widocznie obracacie się w towarzystwach nie dbających o formy i przepisy dobrego tonu.

— Może masz, Klimeczko, słusność, bo formy służą za parawan pustej treści i braku samodzielności i nasze warszawskie towarzystwo zaniedbuje te formy.

— Klimeczko! Zaczekaj na nas! Tak pędzicie naprzód.

Pani radczyni trochę zasapana podeszła i zwróciła się do Romana:

— O czym rozmawiałeś z doktorem?

— O czym?... O teatrze, Krakowie...

— Mówił co o nas?

— Nie.

— Dopytywał się o was?

— Nie.

— Więc o czym mówiliście? — zniecierpliwiła się radczyni — przecież nie o gwiazdach i pogodzie. Wiem dobrze, że jak dwóch mężczyzn młodych się zejdzie, zawsze mówią o kobietach.

— Więc my stanowiliśmy wyjątek — zaśmiał się Roman — gdyż nie było wzmianki o kobietach.

— No, no, jeśli prawdę mówisz, to mnie bardzo dziwi; byłam pewna, że zaznajomił się z tobą, ażeby wyciągnąć szczegóły o nas... I skąd ta nagła przyjaźń dla ciebie, że aż cię zaprasza?

— Nie wiem, ciociu.

— Mameczko, poznał przecież Romana w naszym towarzystwie, cóż dziwnego, że był grzeczny i uprzejmy.

— A ja wdzięczny jestem cioci i kuzynce za dobry pasport — zaśmiał się Roman.

— Nie śmieję się — powiedziała ciotka surowo — czy ty myślisz, że tak łatwo wejść w nasze kółko? O ilu ludziach ja wiem, że daliby nie wiem co, ażeby dostać się w naszą sferę i nie mogą.

— Któż taki, ciociu?

— A kupcy, kamienicznicy, urzędnicy innych dykasteryi.

— No, a szlachta? — spytała Irena.

— Szlachta ma swe odrębne kółka, tak samo arystokracja i profesorowie uniwersytetu.

— Ciociu, a artyści, literaci, czy tworzą osobne kółko — powiedziała Irena.

— Tego nie wiem, ale tych wcale się nie przyjmuje w porządnym towarzystwach,

— Dlaczego?

— Są nieobliczalni; czasem zachowują się przyzwoicie, a czasem są niemożliwi. Znam takie domy, gdzie próbowano zapraszać malarzy, ale też spazono się porządnie. Klimeczko, ty wiesz o kim mówię.

— Tak jest.

— Paulisiu, czy masz na myśli Zadorskich? — spytała Milcia.

— I tych i innych... a widziałas, jak się dzisiaj umizgała do adjunkta nasza *vis-a-vis*?

— Naturalnie... i nie wstyd jej było, że taka wymalowana... i poco ona pokazuje ten chudy gors i suche ręce?

Zaczęta się ożywiona pogawędka o znajomych widzianych w teatrze, i nie skończyła się nawet przy zamkniętej bramie.

Irena i Roman wracali do hotelu.

— Cóż, Irenko, słyszałaś ciotkę?

— Chińszczyzna — westchnęła — i jak tu ciasno, nie można oddychać.

— Ale wiesz, ten doktor inny.

— Jakież on?

— Żywy człowiek.

XI.

Po dwóch tygodniach zdołała wreszcie Czajkowska swe mieszkanie doprowadzić do jakiego, takiego porządku i spotkawszy radcę, prosiła go, ażeby ją odwiedził.

— Dobrze, Sabinko, jak tylko czas znajdę — odpowiedział, zapisując sobie dokładny adres.

Jednego pogodnego popołudnia, zbudziwszy się po drzemce, oświadczył żonie i córce przy poobiedniej kawie:

— Dziś idę do Czajkowskich.

— Co się stało? Dlaczego dziś? — spytała zdziwiona żona.

— Czy ojczulek dostał bilecik zapraszający od Ireny? — uśmiechnęła się Klimeczka.

— Uważacie, wypada mi je odwiedzić, bądź co bądź krewne.

— No, tak, krewne — uśmiechnęła się ironicznie żona — ale gdyby nie Irena, nie spieszyłbyś się z wizytą.

— Irena!? — zdziwił się szczerze — nie przeczę, że ładna dziewczyna, ale nie dla niej idę, lecz dla Sabinki.

— Proszę, dla Sabinki, — mówiła zjadliwie żona — co nie przeszkadza, że z Ireną spotykasz się w mieście i pewnie jej przyrzekłeś swoją protekcję.

— Ależ, Paulisiu — zaczerwienił się radca — raz spotkałem ją w mieście, a raz na plantach. Zamieniłem z nią słów kilka i poszedłem do biura.

— To dziwne, że spotykasz ją zawsze, gdy idziesz lub wracasz ze sądu i to samą, bez matki, a my nie mamy tego szczęścia — zaśmiała się — i nie

dziwiłabym się młodemu, ale ty, stary, bierzesz się na plewy.

— Paulisiu kochana, zważ, co mówisz — oczyma wskazał na Klimcię, siedzącą z uśmiechem zagadkowym — gdzie mnie do umizgów, wujem jestem, a to prawie dziecko.

— Dobrze mi dziecko — powiedziała z przekąsem — ma lat dwadzieścia. W jej wieku byłam już żoną i matką.

— I w dodatku, to Warszawianka — odezwiała się Klimeczka — a każda z nich posiada wyborną szkołę kokieteryi... Czy pamięta mameczka tę brunetkę w Zakopanem, takie dziecko — ironizowała — a zbałamuciła tego Wileńskiego, który był po słowie z Manią, i tego żonatego z Antosią.

— Pamiętam, Klimeczko, pamiętam; i czy jedną... ale każdy mężczyzna jest ślepy i głuchy, gdy popadnie w ręce kokietki.

— Muszę i ja tego spróbować — zaśmiała się Klimeczka.

— A, niechże cię Bóg broni! — zawołała gorąco radczyni — zostaw ten honor Warszawiankom, żadna szanująca się kobieta z naszej sfery nie puszcza się na tę drogę obłudy i przebiegłości.

— Ależ, mameczko, ja tylko żartowałam — uśmiechnęła się Klimeczka — tak nisko nie upadnę.

— Wiem, wiem, moje dziecko, ty jesteś prawa i szlachetna. Słuchajno, Jasiu, nie spotkałeś doktora?

— Owszem, widziałem i rozmawiałem z nim.

— Nie zaprosiłeś go do nas?

— A czy mi mówiłaś o tem?

— Jakto? — oburzyła się — czyż ci nie mówiłam, że Klimeczka zaprosiła go na kolację?

— Zapomniałem — odpowiedział cicho.

— Ty zawsze zapominasz, gdy o nas idzie. Doktorowi widocznie podobała się Klimeczka, bo i pocóżby tak skwapliwie szukał znajomości z jej kuzynami, ale tobie los córki ani w głowie.

— Hm... dobrze, zaproszę go — puścił kłęb dymu — może go dziś spotkam.

— Mameczko, takie gwałtowne zaproszenie może nas skompromitować.

— Prawda, twój ojciec nie zna się na dyplomacji. Uważaj, Jasiu, wspomnij mu delikatnie, że naszą odmowę pójścia z nim na kolację chcemy mu wynagrodzić... coś w tym guście, tylko ostrożnie... tak, od niechcenia, ażeby nie pomyślał, że go ciągniemy.

— Mameczko! — zawołała z grymasem niechęci Klimeczka — jak można nawet przypuszczać coś podobnego!? Ja musiałabym się długo namyślać, czy wyjść za niego.

— Wiem, moje dziecko, przecież to nie jest partya świetna.

— Ee, gadanie! — wzruszył radca ramionami — ja byłbym kontent, żeby się raz z tem zamążpójściem skończyło. Doktor młody, zdolny i ma przyszłość przed sobą... i w czym tu przebierać?

— A tak, ty radbyś się córki pozbyć zaraz — mówiła rozżalona żona — i w czym ci ona przeszkadza? Czy ty, jak inni ojcowie, prowadzisz ją na bale, zabawy, koncerta?... Czy spraszasz młodzież do domu? Czy starasz się o znajomości?

— No, moja kochana, a kto wprowadził Maryewskiego? Kurca? Biszkockiego?

— I wielka z nich pociecha — zaśmiała się gorzko — czy umiałeś podtrzymać te stosunki? Zresztą z nich jeden Maryewski coś wart. Nie widziałeś go? Wiem, że wrócił ze wsi.

— Spotkałem go onegdaj i zrobiłem mu delikatną wymówkę, że zaniedbuje nas, obiecał przyjść.

— I ty mi nic nie powiedziałaś!? — oburzyła się. — Kiedy przyjdzie? Musimy się przygotować, każe posadzkę wyfroterować; Klimeczka musi się ubrać... możeby kwiatów kupić do salonu... Na kiedy go zaprosiłeś? Mówże!

— Ależ nie zaprosiłem wyraźnie, tylko on obiecał, że będzie... zamieszkał kwiatów daj mu dobrą kolację, to będzie lepiej. No, już idę — wstał z krzesła.

— Czy do Czajkowskich? — spytała żona.

— Jeśli nie chcesz, mogę nie iść do nich.

— Cóż to znów? Idź, jeśli chcesz tak koniecznie, ale dlaczego właśnie dzisiaj? Czy przyrzekłeś Irenie?

— Dajże mi spokój święty z tą Ireną. Chciałem pójść, bo to wypada... no i przyznam ci się, że i nadradca i Kotyrski dopytywali się, czy byłem u nich, jak mieszkają. co mówią o Krakowie, bo wiedzieli, że Irena była z wami w Łoży.

— A co mówili o Irenie? — spytała Klimeczka zaciekawiona.

— Nie widzieli jej, tylko słyszeli, że była w Łoży i że doktor was odprowadzał.

— Że też ten Kraków musi wiedzieć o wszystkim — skarżyła się Klimeczka.